

Jak zostałem ekstremistą

20 maja 2018

Oficer straży granicznej na lotnisku Luton w Londynie ledwo dotknął klawiatury komputera i już wiedział, co miał wiedzieć. Z miejsca schował mój paszport i zastopował swoje stanowisko, kierując oczekujących w kolejce za mną podróżnych do stanowisk sąsiednich, a następnie zadał jedno tylko pytanie, choć tak naprawdę było to stwierdzenie: „pan jest ekstremistą”.



Nie czekając na odpowiedź – właściwie co można odpowiedzieć na taki idiotyzm – poprosił, bym udał się za nim, i wskazał miejsce, w którym miałem czekać na dalszy bieg wydarzeń.

Nie minęło pięć minut, gdy pojawiło się przy mnie trzech umundurowanych osobników, w tym jeden z notesem i długopisem. Gdybym jeszcze do tego momentu łudził się, że to, co się dzieje, jest dziełem przypadku, musiałbym pozbyć się złudzeń kilka sekund później, gdy ten z notesem i długopisem sformułował zadziwiająco trafne stwierdzenie – bo i tym razem nie było to pytanie – które zabrzmiało jak oskarżenie: pan ma dziś mityng w Southampton i będzie mówił o książce o mafii. Powodowany odruchem, wyjąłem z torby egzemplarz książki „To tylko mafia” i odparłem: tak jest, będę mówił o tej książce w kilku miastach w Anglii.

Ten z długopisem sięgnął po egzemplarz i ruchem ręki przywołał czwartego mężczyznę, który wziął okazany egzemplarz i gdzieś z nim poszedł – zwrócono mi go dopiero po 5 godzinach, nie wiem, czy dlatego, że wciągnęło ich czytanie, czy może z innych powodów, tak czy inaczej, z minuty na minutę wyglądało to coraz bardziej kuriozalnie – a następnie wyjaśniono mi, że zostaję zatrzymany, ponieważ „telefonowano z Polski” z informacją – i jest to już w systemie – że jestem ekstremistą i nacjonalistą, a moje wypowiedzi mogą mieć charakter antysemicki. Poinstruowano mnie, że decyzja o tym, co dalej, zapadnie za kilka godzin, a w tym czasie książka zostanie poddana analizie i zajmie się tym profesjonalny tłumacz.

Niekiedy zdarzają się sytuacje kuriozalne do tego stopnia, że aż nie wiadomo, co odpowiedzieć, bo człowiekowi zwyczajnie odbiera mowę – to właśnie była jedna z takich sytuacji, która mogła by wydać się nawet śmieszną, gdyby nie była po prostu przykra. Trwałem w tej dyskomfortowej sytuacji – w otoczeniu kilku funkcjonariuszy straży granicznej, którzy pilnowali mnie, niczym przestępcy, bym nie oddalał się na krok – dobrych kilkadziesiąt minut.

Ponieważ moja obecność na lotnisku przedłużała się – w pewnym momencie wszyscy podróżni już wyszli i zostałem w sali odpraw sam ze strażnikami – oczekujący na mnie Polacy, którzy mieli zawieźć mnie do polskiej parafii w Southampton, a stąd na spotkanie autorskie, zaczęli się niecierpliwić i dzwonić raz za razem. Poprosiłem strażników o zgodę na odebranie telefonu i uzyskałem taką możliwość. W krótkich słowach wyjaśniłem swoje położenie. Po chwili, gdy zamierzałem już skończyć, funkcjonariusz z notesem wykonał gest wskazujący, że chce rozmawiać z oczekującymi na mnie na lotnisku znajomymi z Southampton. Przekazałem telefon. Odszedł na bok, więc nie słyszałem, o czym mówią, i dopiero później dowiedziałem się, że dociekano, czy znajomi „też są” z nacjonalistycznej prawicowej organizacji. Oddano mi telefon i pozwolono wykonać oraz odebrać kilka jeszcze połączeń, dzięki czemu mogłem

porozmawiać między innymi z Jerzym Kwaśniewskim, zaprzyjaźnionym prezesem Ordo Iuris, który obiecał pomoc prawną oraz interwencję u konsula. To była ostatnia rozmowa, na którą mi pozwolono, bo minutę później zaprowadzono mnie do kolejnego pomieszczenia, w którym odebrano mi i telefon, i wszystko inne, wcześniej starannie przeszukując bagaż podręczny. Wyjęto z niego wizytownik oraz dwa notesy, które – jak mi wyjaśniono – także miały stać się przedmiotem analizy tłumacza, a cała reszta trafiła do depozytu, zaś ja sam – do miejsca przywołującego przykre skojarzenia z największą traumą mojego życia, z wydarzeniami z 13 maja 2008 roku, gdy na początku „afery marszałkowej” znalazłem się w izbie zatrzymań.

Podobnie jak wtedy, także i tym razem, niczym od rasowego gangstera, pobrano ode mnie odciski ze wszystkich dziesięciu palców i wykonano „sesję zdjęciową” – z przodu i z profilu. Również podobnie jak wówczas, także i tym razem kazano mi wyjąć sznurówki z butów i oddać pasek od spodni – jedyna różnica polegała na tym, że tym razem obyło się bez kajdanek.

„Wyczyszczony” ze wszystkiego trafiłem przed oblicze kolejnego oficera, który wyjaśnił mi, że w związku z telefonami z Polski oraz z tym, co na mój temat „pokazuje system”, zostaję zatrzymany i poddany przesłuchaniu, w którym – przez interkom – weźmie udział polski tłumacz. Już pierwsze pytanie pokazało mi, o czym będziemy rozmawiać.

– Czy jest pan prawicowcem (dokładny cytat)?

– Podobnie jak kilkanaście milionów Polaków, głosowałem na partię prawicową, więc pewnie jestem, cokolwiek by to miało znaczyć – odparłem krótko na pytanie, które wydało mi się tak nieprecyzyjne, że aż abstrakcyjne. Po chwili miałem się jednak przekonać, że to dopiero rozgrzewka.

– Czy w książce, o której chce pan mówić w Wielkiej Brytanii, są treści prawicowe?

– Nie rozumiem pytania – odparłem, bo tak było naprawdę.

– Pan oficer pyta, czy tam są treści nacjonalistyczne, ekstremistyczne i antysemickie, bo takie informacje napłynęły z Polski – wyjaśniła tłumaczka.

– Książka traktuje o powiązaniach polskich polityków na szczytach władzy, z wywiadem wojskowym oraz gangsterami i została napisana wspólnie z byłym oficerem służb specjalnych oraz najważniejszym świadkiem koronnym w Polsce. Nie zawiera treści antysemickich, a pokazuje po prostu prawdę o prawdziwej mafii w Polsce, o tym, że tworzyli ją ludzie ze szczytów władzy – wyjaśniłem.

– Pan oficer twierdzi, że należy pan do ultraprawicowej organizacji. Co pan może o niej powiedzieć?

– A czy pan oficer mógłby podać mi nazwę ultraprawicowej organizacji, do której rzekomo należę, bo ja nic nie wiem o tym, bym należał do takiego „tworu”, więc może pan oficer mnie oświeci. Jestem dziennikarzem śledczym, który pisze książki ujawniające prawdę o służbach specjalnych oraz bandyckich niebezpiecznych związkach na szczytach władzy, i tym się zajmuję, a jedyna organizacja, do której w Polsce należę, nazywa się „Domowy Kościół” i tak naprawdę nie jest to żadna organizacja, a po prostu wspólnota skupiająca kilka rodzin, które pod kierunkiem księdza przewodnika w diecezji siedleckiej wspólnie się modlą, wspierają i rozmawiają o Panu Bogu.

– A czym się zajmuje ta organizacja, czy też ta wspólnota, do której pan należy? Pan oficer pyta, czy w jej skład wchodzi prawicowcy?

W tym momencie ręce mi opadły. Przez następną godzinę wyjaśniałem, jak przysłówiowej krowie na miedzy, że jestem dziennikarzem i katolikiem, ale to nie znaczy, że należę do jakiejś ekstremistycznej organizacji, i że ktoś – nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni – zrobił mi czarny PR, ale w tym momencie aż przestraszyłem się swoich słów, bowiem na

słowa „czarny PR” „pan oficer”, człowiek o czarnym kolorze skóry, którego przodkowie mogli pochodzić z Afryki, zrobił minę niewróżącą mi niczego dobrego, po czym spytał krótko: „to pan jest także rasistą”? Pomyślałem, że w tej sytuacji najlepsze co mógłbym zrobić, to pewnie zamilknąć, ale po chwili skonstatowałem, że być może milczenie zostanie uznane za przyznanie się do winy polegającej na działalności w jakiejś nieokreślonej ultraprawicowej organizacji zajmującej się ekstremizmem, nacjonalizmem, antysemityzmem i Bóg jeden raczy wiedzieć, jakim jeszcze „izmem”. Przemogłem się więc i jak tylko potrafiłem najlepiej, odpowiadałem na kolejne pytania, obiecując sobie, że bez względu na poziom absurdu nie dam się wyprowadzić z równowagi, by nie zostać potraktowany np. paralizatorem, jak choćby nieszczęsny rodak w Kanadzie, którego spotkał tragiczny los, a którego mamę onegdaj poznałem. Odpowiedziałem więc na wszystkie pytania, nawet te najbardziej idiotyczne, w rodzaju: czy polscy księża, którzy mnie zapraszają i u których będę mieszkał na terenie Wielkiej Brytanii, „też należą” do ultraprawicowej ekstremistycznej organizacji?

Przez następne czterdzieści minut wyjaśniałem, że piszę książki, a następnie docieram z nimi wszędzie tam, gdzie są zapraszający mnie Polacy, od Stanów Zjednoczonych i Kanady, które odwiedzałem po wielokroć, po Wielką Brytanię i dziesiątki innych państw i jeszcze nikt nigdy nie oskarżał mnie o podobne brednie. Wszystko jednak na nic, bo miałem wrażenie, że „pan oficer” wie swoje. Słowa „prawicowcy” i „organizacje prawicowe” powtarzano w pytaniach jak mantrę – łącznie zostały wymienione co najmniej kilkadziesiąt razy i odmienione przez wszystkie możliwe przypadki – po czym najwyraźniej uznano, że wszystko, co było do powiedzenia, zostało już powiedziane. Odprowadzono mnie do pokoju bez klamek, w którym miałem czekać na swój los.

Po kolejnych dwóch godzinach pan oficer otworzył drzwi i oddając paszport, książkę oraz bagaż podręczny, poinformował,

że mogę wejść na terytorium Wielkiej Brytanii, nie omieszkał jednak dodać, że moje spotkania i wypowiedzi będą starannie analizowane i monitorowane.

Jak zrozumieć wszystko to, co wydarzyło się wczoraj na lotnisku Luton?

Przyznam, że na dziś, tak na gorąco, mam z tym niemały kłopot i jedyne, co przychodzi mi do głowy, to wykładnia słynnego „Paragrafu 22” z powieści Josepha Hellera: „Nie musisz latać na akcje bombardowania, jeśli jesteś szalony, ale nie chcąc latać, dowodzisz, że nie jesteś szalony, bo tylko wariat może chcieć brać udział w tak szalenie niebezpiecznych akcjach”. Innymi słowy – kiedy ktoś w tak absurdalnej rzeczywistości, jaką – nie bez udziału „życzliwych” z Polski – zastałem w Wielkiej Brytanii, próbuje posługiwać się racjonalnymi argumentami, stoi na z góry przegranej pozycji. Bo w tak absurdalnej rzeczywistości jedynym kluczem do jej zrozumienia jest – być może – właśnie tylko absurd. A co Państwo o tym sądzicie?

Autorstwo: Wojciech Sumliński

Zdjęcie: [Zbigniew.czernik](#) (CC BY 3.0)

Źródła: [Goniec.net](#), [Sumlinski.pl](#)